

David  
Wilson

# MORDERCY

Przełożyła  
Martyna Plisenko

FILIA

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### Scrubs, seryjny morderca i Oddział

„W ciągu owych ostatnich minut swego życia dokonał niejako podsumowania lekcji, jakiej udzieliła nam długa historia ludzkiej nikczemności – lekcji na temat zatrważającej i urągającej słowom i myślom banalności zła”.

Hanna Arendt, *Eichmann w Jerozolimie – rzecz o banalności zła*, tłum. Adam Szostkiewicz, Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK, Kraków 1998

BOLAŁA MNIE GŁOWA i nie mogłem się skupić. Poprzedni wieczór spędziłem z Simonem, Roddym i Antonym, trzema moimi przyjaciółmi z uniwersytetu, w modnym barze w Fulham. Wspomnienia pojawiały się i znikały w mojej świadomości, migocząc widokami, dźwiękami, a przede wszystkim zapachami, które teraz otaczały mnie w Zakładzie Karnym Wormwood Scrubs.

Do wynajętego mieszkania w Hammersmith wróciłem nad ranem i teraz ponosiłem tego konsekwencje.

Zamknąłem oczy.

– Bez cukru, zgadza się? – zapytał jakiś głos zdecydowanie za głośno, a przede mną na biurku wylądował kubek herbaty – czy też „diesla”, jak ją nazywano w Służbie Więziennej Jej Królewskiej Mości.

Głos, który wyrwał mnie z drzemki, należał do Erica, jednego ze starszych funkcjonariuszy w skrzydle C, który podobnie jak ja pochodził z Glasgow. Bardzo szybko uznał, głównie ze względów geograficznych i źle rozumianego patriotyzmu, że „warto mnie uratować”, nawet mimo faktu, że byłem nowym zastępcą naczelnika więzienia. W skrócie: Eric wziął mnie pod swoje skrzydła. Byłem mu wdzięczny nie tylko za herbatę, ale ogólnie za wsparcie. W więzieniach bywa bardzo samotnie, nawet jeśli nie jest się jednym z osadzonych.

Skinąłem głową.

– Dzięki – wymamrotałem słabym głosem.

Wiedziałem, że chociaż Eric był moim sprzymierzeńcem, to jego próba nawiązania rozmowy bynajmniej nie miała sprawić, że poczuję się lepiej – bawiło go moje złe samopoczucie i miał zamiar, niezbyt subtelnie, przedłużyć moją agonię.

Za drzwiami mojego biura więzienie stopniowo budziło się do życia i osadzeni, szereg po szeregu, powoli podążali do umywalni, gdzie mogli się „spuścić”, zanim przeszli na parter na śniadanie. „Spuszczenie” oznaczało opróżnienie plastikowych nocników z ich zawartości. Moje biuro znajdowało się obok głównej umywalni, więc miałem miejsce w pierwszym rzędzie, aby być świadkiem tego najbardziej oczywistego z uciążliwych codziennych rytuałów życia w naszych więzieniach w 1983 roku.

Niedawno skończyłem Cambridge University z doktoratem na temat filozoficznych źródeł amerykańskiej wojny domowej i zostałem zwербowany bezpośrednio do służby więziennej. Nadal przyzwyczajałem się do życia za kratami.

– Nigdy nie pij, jeśli następnego dnia idziesz do pracy. Przecież ci mówiłem! – strofował mnie Eric, gdy siorbałem herbatę.

Rzeczywiście, mówił to kilka razy. Jednak wpływ jego mądrości został nieco osłabiony przez fakt, że jego rada zwykle dotyczyła dwóch kufli podczas wypadu do baru, ledwie kilka godzin przed tym, jak mieliśmy się stawić do pracy. Eric był, jak mówią w literaturze angielskiej, niewiarygodnym narratorem.

– Ogarnij się jakoś. Masz do załatwienia kilka przyjęć, a jeden z nich to VIP.

Odstawiłem kubek i poprawiłem węzeł mojego starego uczelnianego krawata, zerkając na Erica w nadziei, że zaaprobuje mój wygląd.

– Co o tym myślisz? – spytałem.

– Japiszon w każdym calu – odparł Eric.

Nie byłem pewien, czy to zarzut, czy komplement. Jednym ze sposobów, w jaki pracownicy więzienia próbowali pokapować się, kim jestem, było chwycenie się przekonania, że jestem „młodym, miejskim profesjonalistą” – yuppie. Mogło się to zgadzać w odniesieniu do moich rówieśników z Cambridge, z których

większość poszła do pracy w City i w pełni korzystała z thatcherowskich nadwyżek. Ja zaś wiedziałem, że chcę podążyć w innym kierunku. Bardziej niż zarabiać chciałem coś realnie zmieniać – chciałem pomagać ludziom. Szybko się przekonałem, że moi nowi koledzy musieli sobie znaleźć logiczne wytłumaczenie, dlaczego mógłbym chcieć zostać naczelnikiem więzienia, więc nie prostowałem ich błędnych założeń. W zasadzie kilka razy próbowałem im wyjaśnić mój wybór ścieżki kariery, ale słowa o polityce społecznej, idealizmie, nadziei, rehabilitacji czy odkupieniu zawsze spotykały się z pełnymi pożałowania spojrzeniami, irytacją i kręceniem głową. Niech więc już będzie yuppie.

Tak naprawdę to były naczelnik Wormwood Scrubs, John McCarthy, pomógł mi podjąć decyzję co do mojej kariery. John odszedł ze służby więziennej na fali popularności w 1981 roku, po tym, jak napisał list do „The Times”, w którym wyraził swoją dezaprobatę wobec systemu więziennictwa i tego, co uważał za porażkę ministra spraw wewnętrznych, który nic z tym nie robił. W swoim liście oświadczył, że nie był przygotowany na to, że będzie „kierownikiem wielkiego wysypiska ludzkich śmieci”. Później, uzasadniając dodatkowo swoją rezygnację, opisał także, że „nie był w stanie pogodzić się z obecnym stanem więziennictwa i kierunkiem, w jakim zmierza”. John w ten sposób przekazał zawołowaną

wiadomość, że system więziennictwa został zredukowany do przechowalni dla ludzi, zamiast pomagać osadzonym w resocjalizacji. Bardzo się martwiłem, że jeśli McCarthy miał rację, to naprawdę powinienem pomyśleć o innych opcjach w planowaniu kariery.

W chwili gdy John napisał do „The Times”, skarżąc się na przepełnienie, w więzieniach znajdowały się czterdzieści trzy tysiące osadzonych. Dziś ta liczba niemal się podwoiła i mimo wybudowania nowych zakładów karnych przepełnienie wciąż jest nierozwiązanym problemem.

Znalazłem adres Johna i napisałem do niego, że rozważam wstąpienie do służby więziennej, a on uprzejmie zgodził się ze mną spotkać. John był ciepły i serdeczny, a istotą jego rady podczas naszego spotkania przy lunchu było to, że powinienem pójść w życiu własną drogą i dojść do wniosków, które najlepiej pasują do mnie, do moich wartości i aspiracji. Kiedy wracałem pociągiem do Cambridge, mieszanina arogancji i naiwności sprawiła, że nabrałem przekonania, że naprawdę zdołam zrobić więcej rzeczy, niż on byłby w stanie zrobić w trakcie swojego życia zawodowego. Tym niemniej rada Johna jest ponadczasowa, a ja sam dałem ją również wielu młodym ludziom, którzy zastanawiają się dziś nad własną ścieżką kariery. Wciąż dręczyły mnie pewne wątpliwości, ale chęć podjęcia choćby próby zmiany życia ludzi, którzy

wylądowali na najdalszych krańcach naszego społeczeństwa, była równie silna jak moja naiwność i arogancja. Zatem po długim namyśle zdecydowałem się podjąć to wyzwanie. Ledwie kilka krótkich miesięcy później przeszedłem od akademickiego dumania nad abstrakcją do zajmowania się prawdziwymi kwestiami porządku publicznego. Stałem przed aż nazbyt realnymi istotami ludzkimi, na które osądy i decyzje podejmowane przeze mnie, jak też innych, miały bezpośredni wpływ.

Prawdę mówiąc, moje wykształcenie akademickie w bardzo niewielkim stopniu przygotowało mnie do tego, do czego zostałem zatrudniony, i nawet teraz dziwię się, że doktorat z historii i filozofii może zaowocować karierą polegającą na pracy z najbardziej brutalnymi ludźmi w kraju. Jednakże moja wiara w resocjalizację i to, że każdy jest w stanie dokonać pozytywnych zmian, w następnych latach została dogłębnie zweryfikowana.

Nie, żeby Eric, inni funkcjonariusze więzienni czy sami więźniowie przejmowali się wielkimi filozoficznymi rozważaniami, które prowadziłem. Dla nich byłem po prostu kolejnym „garniakiem” – zarządcy więzienia nosili raczej cywilne ciuchy niż mundury. Im garniaki w zasadzie przeszkadzały i musieli się dowiedzieć, kto *naprawdę* rządzi więzieniem.

A kto naprawdę rządzi więzieniem?

Cóż, to Prison Officers' Association (POA), Stowarzyszenie Funkcjonariuszy Więziennych, i niech niebiosy mają cię w opiece, jeśli utracisz jego wsparcie. Stowarzyszenie powstało przed I wojną światową i w jego skład wchodził szeregowi i starsi funkcjonariusze więzienni, dowódcy i naczelnicy, którzy kontrolowali więzienie na wiele różnych sposobów. Najwyraźniej mogli zagrozić (i często to robili), że rzucą pracę, zostawiając naczelników z niewielką liczbą pracowników, a może nawet bez personelu, który mógłby się podjąć nawet najbardziej podstawowych obowiązków.

To także funkcjonariusze więzienni kontrolowali „odkomenderowaną grupę”, czyli liczbę pracowników potrzebnych w określonych porach dnia. Aby zapewnić sobie spokojne życie, naczelnicy często przymykali oczy na szarą rzeczywistość, że nigdy nie było wystarczająco wielu pracowników, więc każde więzienie musiało korzystać ze zleceń na nadgodziny, co oczywiście pociągało za sobą dodatkowe koszty. Wkrótce personel więzienny zaczął brać więcej nadgodzin niż godzin podstawowych, aby opłacić wakacje, nowe samochody lub kupić dom, a nowy zarządca musiał się bardzo szybko nauczyć, aby nigdy nie wnikać w szczegóły ani nie kwestionować liczby nadgodzin, które przepracowywali.

Naczelnicy oczywiście byli na pensji, więc nie pracowali w nadgodzinach. W latach sześćdziesiątych POA zaczęło



mówić głośno o tym, jak jego zdaniem powinny wyglądać kary i że reżim więzienny powinien być znacznie ostrzejszy. Nie podobało się to wielu naczelnikom, którzy zazwyczaj prezentowali znacznie bardziej liberalne podejście do kary pozbawienia wolności i zwykle pochodzili z zupełnie innych środowisk i mieli całkiem inny kapitał edukacyjny niż większość funkcjonariuszy więziennych. Zarządcy również bardzo często szybko przechodzili z jednego więzienia do drugiego po uzyskaniu awansu lub w ramach przygotowania do awansu. Przyjęcie przez POA wotum nieufności wobec takiego naczelnika nie pomogłoby karierze, toczyła się więc nieustanna, ale ukryta walka między POA a kierownictwem.

Zwykle w tej walce zwyciężało POA.

Małym przykładem jej siły było ubranie, które nosiłem. Dopiero po kilku miesiącach pracy pozwolono mi nosić własne ubrania. Przez poprzednich osiem tygodni ubierałem się w źle dopasowany mundur oficera więziennego, aby „posmakować tego, jak to naprawdę jest”, zgodnie z umową zawartą między POA a służbą więzienną, kiedy wprowadzili system bezpośredniego przyjmowania kandydatów. W rzeczywistości gdyby w więzieniu nie było niedoborów personelu, mógłbym spędzić w mundurze funkcjonariusza więzienia jeszcze więcej czasu.

Ale oto byłem, mając za sobą raptem dziesięć tygodni nowej pracy, wreszcie we własnych ciuchach i czekając na

spotkanie ze swoim pierwszym VIP-em – cokolwiek to tutaj znaczyło.

– VIP? – spytałem.

Eric rzucił mi na biurko egzemplarz „Sun” i skinął głową na zdjęcie na pierwszej stronie.

– On! – powiedział.

Napiłem się jeszcze trochę herbaty i gapiąc się na zdjęcie, próbowałem sobie przypomnieć wszystko, co wiem o tej sprawie, zanim spotkam się z więźniem, co było moim obowiązkiem wobec wszystkich nowo przyjmowanych do skrzydła C. Nadal nie miałem jasności, w jaki sposób powinienem się zachowywać teraz, gdy zostałem jakby osobą odpowiedzialną za zarządzanie. Z obrzydzeniem czy z fascynacją? A może z jednym i drugim?

Dennis Nilsen faktycznie był „bardzo ważnym więźniem”. W Londynie, w serii zabójstw pomiędzy rokiem 1978 a 1983 zamordował co najmniej dwunastu młodych ludzi. Prasa różnie go nazywała, określając go jako potwora niezdolnego pojąć ogromu swojej zbrodni, z przerażającymi opowieściami o kanibalizmie i nekrofilii. Nilsen ledwie dzień wcześniej został skazany za sześć morderstw i dwie próby morderstwa w północnym Londynie, jakkolwiek prawdziwa skala jego zbrodni nie jest znana po dziś dzień. Wstrząśniętemu oficerowi, który dokonał aresztowania, najpierw powiedział, że zabił piętnastu młodych ludzi – dwunastu na Melrose Avenue, gdzie miał dostęp do ogrodu

na tyłach posesji, i trzy osoby w Cranley Gardens, gdzie mieszkał w mieszkaniu na ostatnim piętrze.

Większość jego ofiar stanowili młodzi, bezdomni mężczyźni, z których wielu było orientacji homoseksualnej. Gdy lokalne puby zamykały się na noc, Nilsen ich stamtąd zabierał, przyprowadzał do swojego mieszkania, wlewał w nich więcej alkoholu, a gdy byli odpowiednio oszołomieni, dusił ich. Czasami odpuszczał tuż przed utratą przytomności, a potem znowu zaczynał dusić.

Chociaż temu zaprzeczał, badania kryminalistyczne wykazały, że po śmierci jego ofiar od czasu do czasu uprawiał seks z ich bezwładnymi ciałami, zanim je pociął i pozbył się szczątków. Na Melrose Avenue utylizacja nie była zbyt trudna. Rozpalał ognisko w swoim ogródku, maskując zapach spalanych tkanek przez wrzucenie w ogień starych opon samochodowych. W Cranley Gardens okazało się to trudniejsze i to właśnie było powodem wykrycia i wpadki Nilsena, ponieważ był zmuszony do splukiwania części ciała w toalecie. Nie żeby chciał pozbyć się wszystkich organów – Nilsen czasami zatrzymywał „trofea” w postaci głów niektórych ze swoich ofiar.

Oprócz makabrycznego charakteru jego zbrodni media z zapałem krytykowały również policję i jej sposób prowadzenia sprawy – całkiem słusznie, biorąc pod uwagę, że wielu młodych mężczyzn przeżyło ataki Nilsena, a następnie je zgłosiło.

Douglas Stewart był dwudziestopięcioletnim praktykantem kucharskim, który w pubie Golden Lion wdał się w pogawędkę z Nilsenem, innym Szkotem, który miał podobne doświadczenia z pracy na kuchni i który zaprosił go na drinka na Melrose Avenue. Tam Douglas zasnął w fotelu, ale obudził się wczesnym rankiem w zaciemnionym pokoju i próbował się przeciągnąć. Uświadomił sobie, że kostki miał przywiązane do fotela. Poczuł, że jego krawat się poluzował, a potem zacisnął mu na gardle – Nilsen go dusił. Douglasowi udało się wymierzyć cios w twarz napastnika, a następnie wyswobodzić z więzów.

Wywiązała się kłótnia i Douglas oskarżył Nilsena o to, że ten próbował go zabić. Nilsen zasugerował Douglasowi, że bezcelowe jest zgłaszanie się na policję: „Nigdy ci nie uwierzą. Przyjmą moje słowo. Jak mówiłem w pubie, jestem szanowanym urzędnikiem państwowym”.

Douglas wyszedł z mieszkania Nilsena i znalazł budkę telefoniczną. Zadzwoił pod numer alarmowy i zaczekał na przyjazd radiowozu. Pokazał dwóm policjantom czerwone ślady na szyi i wyjaśnił im, co się stało. Jeden z oficerów został z Douglasem, a drugi poszedł porozmawiać z Nilsenem.

Douglas wspominał później: „Nilsen zaprzeczył wszystkiemu, co powiedziałem policji. Pozwolił im myśleć, że się spotykamy i że była to tylko kłótnia kochanków homoseksualistów”. Gdy tylko padło słowo

„homoseksualista”, stwierdził Douglas, policja straciła zainteresowanie incydentem i skontaktowała się z nim dopiero po późniejszym aresztowaniu Nilsena.

Nawet jeśli samo określenie powstało w latach sześćdziesiątych, w latach osiemdziesiątych w zasadzie nie używaliśmy słowa „homofobia”. Nie było jakoś bardzo popularne, ale z pewnością było powszechnie znane i nie ma wątpliwości, że to właśnie homofobia stworzyła kontekst, w którym Nilsen mógł zabijać, a następnie tak długo unikać wykrycia. Media nie były nadmiernie zaniepokojone homofobią. O wiele bardziej interesował ich kanibalizm i nekrofilia. Dla wszystkich dziennikarzy było oczywiste, że jeśli chodzi o zabójców, Nilsen był numerem jeden na „liście przebojów”.